

Oczywiście Gdańsk!

JACEK BORKOWICZ

Gdańsk stolicą Kaszub? To oczywiste. Nie trzeba tego uchwalać, gdyż był nią właściwie od zawsze. I nie jest to wcale kaszubski punkt widzenia, ale wyraz obiektywnych i powszechnych procesów kulturowych.

Podnoszące się tu i ówdzie głosy, że Gdańsk to stolica kraju kaszubskiego, spotykają się z gorącą reakcją wielu gdańszczan. Czują się oni zaniepokojeni tym, że „odbiera się im” ich miasto. Wystarczy rzucić okiem na dyskusje w internecie. Życzenie, aby Kaszubi zostawili Gdańsk w spokoju i wynieśli się z powrotem do Kartuz i Kościerzyny, należy tam do łagodniejszych wypowiedzi. Znamionym, powtarzającym się argumentem oponentów jest twierdzenie, jakoby „tutaj nigdy nie było Kaszubów”.

Czy warto się w ten spór angażować? Jeśli tak, to na pewno nie w jego wersji internetowej, przeciwstawiającej Kaszubów nie-Kaszubom i spłaszczającej pojęcia kaszubskości i polskości, a także tego, co gdańskie.

Od zawsze

Zacznę od przypomnienia prawdy banalnej w swojej oczywistości: Kaszubi mieszkali w Gdańsku od początku jego istnienia. Przed tysiącem lat to właśnie ich przodkowie zaludniali gdański gród i jego podgrodzia, a przez pierwsze dwa wieki funkcjonowania miasta i portu nad Motławą nie kto inny, jak kaszubszy Pomorzanie byli jego jedynymi mieszkańcami – nie licząc kupców, pruskich jeńców i członków drużyny książęcej. Później Kaszubi dzielili miasto z osadnikami przybyłymi z Niemiec. Ci ostatni prawdopodobnie dopiero na początku XIV wieku zdobyli w Gdańsku przewagę liczebną.

Ludność kaszubska, zgromadzona przez Krzyżaków w przylegającym do zamku Osieku, cieszyła się tam znacznym samorządem, miała między innymi własny ratusz, zwany polskim. Ta autonomia, paradoksalnie, zakończyła się w momencie, gdy nowy władca Gdańska król Kazimierz Jagiellończyk oddał Osiek niemieckim mieszczanom Prawego Miasta (zwanego dziś, niezbyt poprawnie, Głównym).

Koniec kaszubskiej odrębności nie oznaczał przecież wymarcia kaszubskiego języka i obyczaju, które przechowały się w Gdańsku dość długo. Prawdopodobnie jeszcze w drugiej połowie XVII wieku, czyli w czasach po potopie szwedzkim, przybywający na Targ Rybny kaszubszy rybacy znad Zatoki Puckiej mogli rozmawiać w rodzimym języku z mieszkańcami starych nadmotławskich uliczek.

Jak owad w bursztynie

Kaszubszy niezamożni rybacy i rzemieślnicy stopniowo upodabniali się do swoich bogatszych niemieckich sąsiadów. Tak jak oni przyjęli naukę Lutra. Modlili się w kościołach pw. św. Bartłomieja i św. Jana z Biblii Gdańskiej, wydanej w 1632 roku w języku polskim. Był to ich język odświętny – w życiu codziennym trzymali się kaszubszczyzny. Jednak z czasem również i stara mowa wyszła z użycia. W osiemnastowiecznym Gdańsku na polskie luteriańskie nabożeństwa, odprawiane w kaplicy świętej Anny, przychodzili głównie mazurscy uczniowie studiujący w pobliskim Gimnazjum Akademickim. Kaszubszy gdańszczanie wtopili się w miejski proletariats Osieka, Grodziska, Starego Miasta i Starego Przedmieścia. Ich dzieci, wnuki i prawnuki żyły tutaj, na tych samych ulicach, aż do zagłady miasta w 1945 roku.

Odróżniając się zarówno wyznaniem, jak i językiem od kaszubskiej większości z pomorskiego zaplecza, potomkowie najstarszych gdańskich Kaszubów zachowali przecież pewne cechy odróżniające ich od „standardowych” gdańskich Niemców. Wyróżniał ich konserwatyzm i przywiązanie do własnego podwórka. Wiązało się z tym respektowanie dawnych, pamiętających

jeszcze czasy średniowiecza zasad regulujących życie arteli i bractw rzemieślniczych. Te resztki archaicznej kaszubsko-gdańskiej codzienności wymarły wraz z dojściem do władzy hitlerowców.

Ostatnią pamiątką po tych ludziach pozostały nazwiska: Dettlaff, Retzlaff, Tetzlaff, Wentzlaff..., kaszubsko-pomorskie pamiątki, zastygłe w niemieckiej ortografii niczym owad w grudce bursztynu. Jeden z nich, Richard Teclav (tak odniemczył swoje nazwisko), był przed wojną reporterem sądowym „Danziger Volksstimme”, popularnego dziennika gdańskich socjaldemokratów. Pod pseudonimem Ricardo opisywał barwne życie odchodzącego świata, z którego wyrósł: robociarskich zaułków, tawern nabrzeża Motławy i przedmiejskich spelunek. Ten szczerzy socjalista zmuszony był wyjechać z Gdańska w 1933 roku, zaraz po zwycięstwie nazistów. Był pierwszym emigrantem politycznym w Wolnym Mieście, które dotąd samo stanowiło mekkę dla wszelkiej maści uchodźców.

Fala z Wyżyn

Tuż obok tej zanikającej, najstarszej warstwy kaszubskiego Gdańska rosła w siłę nowa miejska wspólnota. Tworzyli ją Kaszubi przybyli z wyżynnego zaplecza portowej metropolii: z wiosek zaczynających się zaraz za miejskimi bramami, takich jak Suchanino, gdzie dzisiaj wznoszą się wielkopłytkowe bloki, oraz dalszych, sięgających okolic Kartuz, Kościerzyny lub Wejherowa. W odróżnieniu od swoich starszych gdańskich krewniaków byli katolikami. Przybywali tu zrazu wąskim, choć stale napływającym strumykiem, jako uliczni handlarze, woźnice, tragarze, służący. Polskie, a wśród nich kaszubskie mamki bywały cenione w rodzinach patrycjuszów. Z pewnością niejedyn z przedstawicieli najmłodszego pokolenia dobrze urodzonych gdańszczan, zanim w ogóle nauczył się mówić, po niemiecku, przyswajał sobie kaszubskie słowa, które chłonał od nianki.

Na przełomie XIX i XX wieku strumyk ten zamienił się w prawdziwie rwącą rzekę. Do rozwijającego się miasta napłynęło wtedy kilkadziesiąt tysięcy Kaszubów oraz drugie tyle Kociewiaków. Można powiedzieć, że opanowali oni miasto: po dwudziestu latach tej wędrówki nie było w Gdańsku dzielnicy, w której nie mieszkaliby Kaszubi. Oczywiście najwięcej ich było w rejonach biedniejszych, robotniczych. Chętnie zajmowali się rzemiosłem i drobnym handlem. Gdyby na przykład ktoś szukał wtedy na Dolnym Mieście sklepiku z tytoniem i tabaką, którego nie prowadzi Kaszuba, musiałyby sporo się nachodzić. Byli i tacy, którym w niemieckim Gdańsku udało się zrobić karierę. Prałat Magnus Bruski, wieloletni proboszcz kościoła św. Mikołaja, był osobą numer dwa w diecezji gdańskiej, zaraz po biskupie. Choć zmarł już po zdobyciu miasta w 1945 roku, jednak po jego grobie nie ma dziś nawet śladu: zniknął z powierzchni ziemi razem z cmentarzem przy Politechnice Gdańskiej.

Drugie pokolenie tej społeczności czuło się już w pełni gdańszczanami, nie zatracając jednak do końca świadomości swojego pochodzenia. Kaszubszy mieszkańcy Gdańska w większości pamiętali o własnych korzeniach, niezależnie od tego, czy w kolejnych spisach ludności deklarowali się jako Kaszubi, Niemcy czy też Polacy, i niezależnie od stanu zachowania rodzimego języka.

Można powiedzieć, że udział kaszubskiego komponentu radykalnie odmienił oblicze Gdańska. To jeszcze w połowie XIX wieku protestanckie miasto, w latach międzywojennych w około 40 procentach zaludnione było przez katolików. Zdecydowana większość owych katolików wywodziła się z kaszubskiego i kociewskiego Pomorza.

Kaszubski udział w populacji przedwojennego Gdańska to jednak znacznie więcej niż tylko kwestia chłodnych z natury wyliczeń procentowych. Dość powiedzieć, że kaszubszczyzna przybyszów wywarła znaczący wpływ na ukształtowanie się *Danziger Missingsch*, gwary miejskiej, której rolę w panoramie gdańskiej kultury można porównać jedynie do roli *bałaku* w popularnej kulturze przedwojennego Lwowa. Warto o tym pamiętać, oceniając prawa Kaszubów do nazywania się gdańszczanami. Przecież trudno o bardziej gdański symbol niż *bówka*, odpowiednik lwowskiego *batiara*!

Dzisiejszy kaszubski Gdańsk reprezentuje trzecią z kolei warstwę historyczną. Współcześni Kaszubi lub też ludzie o kaszubskich korzeniach (do grupy tej należy, szacując pobieżnie, prawie co

trzeci mieszkaniec miasta) w zdecydowanej większości przybyli tutaj już po wojnie. Podobnie jak olbrzymia większość jego pozostałych mieszkańców.

Kaszubski Gdańsk na tle Europy

To prawda, że Gdańsk już od wieków jest miastem o przewadze ludności niekaszubskiej. Jednak należy pamiętać, że model małej wspólnoty etnicznej – a do takiej kategorii należy zaliczyć Kaszubów – ze stolicą, w której owa wspólnota jest mniejszością, nie stanowi wyjątku w skali europejskiej. Co więcej, jest to reguła. Jak Europa długa i szeroka, od kraju Basków aż po Ural, mamy do czynienia z małymi narodami (niezależnie od ich politycznego statusu), których główne miasta albo zdecydowanie różnią się etnicznie od reszty obszaru, albo też przybrały podobne etnicznie oblicze dopiero w niedawnym czasie.

Pierwszy z brzegu przykład odnosi się do naszych sąsiadów. Bratysława, stolica Słowacji, jeszcze sto lat temu była miastem zamieszkanym w zdecydowanej przewadze przez Niemców i Węgrów. Słowacy stanowili tam nieznaczną, kilkunastoprocentową mniejszość. Zresztą sama nazwa „Bratysława” jest sztuczna, ochrzczono nią tak miasto dopiero w 1919 roku. Mimo to nikt dzisiaj nie kwestionuje centralnej roli Bratysławy w historii słowackiego narodu, gdyż w ciągu wieków była ona siedzibą instytucji ważnych dla słowackiej kultury.

Podobne relacje zachodzą w przypadku stosunku Kaszubów do Gdańska. Tutaj od dawna ukazują się kaszubskie czasopisma i książki (pierwsza w 1643 roku), tutaj też przyszło żyć i tworzyć kilku pokoleniom kaszubskich pisarzy, poetów i ludzi nauki.

Jeszcze więcej analogii odnajdziemy w przypadku Strasburga. Gdy myślimy o Alzacji i Alzaczycach, wspólnocie etnicznej francusko-niemieckiego pogranicza, od razu przychodzi nam na myśl ta alzacka metropolia. A przecież Strasburg zawsze, zarówno w przeszłości jak i obecnie, był bardzo mało alzacki. W dawnych wiekach to dumne wolne miasto, którego obywatele wyznawali luteranizm, patrzyło z wyższością na otaczające je katolickie peryferie. W okolicach Strasburga prawie nikt już nie mówi po alzacku; regiony, gdzie nadal używa się tego dialektu, leżą bardziej na południe, w rejonie miasta Colmar. Tam też bije najżywszym rytmem puls alzackiego regionalizmu. Colmar to takie alzackie Kartuzy. Mimo to nikt rozsądny nie nazwie miasta Colmar stolicą Alzacji, gdyż ponad wszelką wątpliwość jest nią Strasburg. Zarówno w oczach samych Alzaczyców, jak i w opinii Francuzów, Niemców oraz reszty Europejczyków.

Gdańsk jest dla Kaszubów czymś więcej niż Strasburg dla Alzaczyców, czy też Bratysława dla Słowaków. Żadne z tych miast nie może bowiem poszczycić się grobami alzackich lub słowackich książąt. A katedra w Oliwie skrywa grobowce książąt kaszubskich.

Argumenty mieszczuchów

Nie są też czymś wyjątkowym ani specyficznie polskim argumenty za obroną Gdańska przed „kaszubskimi roszczeniami”. Podobne zarzuty uzurpacji w przeszłości stawiano właściwie wszystkim małym narodom Europy. Można zrozumieć te reakcje, jeśli zważyć, że narody owe miały w większości „wiejską” genezę. Zarówno ich duchowi przywódcy, jak i szeregowi przedstawiciele wywodzili się z reguły ze środowisk wiejskich; wyniesione ze wsi wartości określały też kod ich etnicznej wspólnoty. Tymczasem zagrożeni mieszkańcy miast, do których realne lub rzekome pretensje „roszczą sobie” reprezentanci małych narodów, reprezentują z reguły „miejskie” narody polityczne, duże (jak Francuzi, Niemcy czy Rosjanie) oraz średnie (jak Szwedzi, Węgrzy oraz Polacy). Skądinąd Szwedom strach przed Finami zaludniającymi „ich” miasta w Finlandii przeszedł już dawno. Jeśli chodzi o pozostałe wymienione narody, to różnie z tym bywa.

Typową bronią „mieszczuchów” jest w takim wypadku redukcja wizerunku kultury odmiennego etnicznie rywala do wąskich ram osobliwości folklorystycznej. Przybysza do miasta łatwiej pognębić i ośmieszyć, ubierając go w drewniane chodaki i wyszywany w ludowe wzory kaftan. Fałsz takiej postawy wychodzi na jaw, gdy uświadomimy sobie, że w fenomenie kaszubszczyzny (podobnie jak w fenomenie każdej etniczności) zawiera się znacznie więcej, niż chcą dostrzec jej prześmiewcy. Jest to przede wszystkim wspólnota kultury i wspólnota losów,

w ich historycznym wymiarze.

Ale „obrońcy Gdańska” to ignorują, podobnie zresztą jak fakt, że zdecydowana większość tych osób kulturę miejską, której tak broni, zna wyłącznie w jej zdegenerowanym, postkomunistycznym wydaniu. Nie przyjechali bowiem, jak ich kaszubscy poprzednicy na początku XX wieku, do miasta pielęgnującego od pokoleń lokalny model kultury. Ich rodzice osiedlili się w cywilizacyjnej pustce, na ruinach wypalonych domów, które musieli ponownie wznosić od fundamentów. Był to heroiczny wysiłek; heroizm sam w sobie nie jest jednak wystarczającym spoiwem przy budowie tkanki miejskiej kultury. Do tego trzeba co najmniej kilku pokoleń pracujących w warunkach nieprzerwanego pokoju i ładu społecznego.

Kultura, właściwie pojmowana, jest przeciwieństwem zaborczego ekskluzywizmu. W jej algorytmach nie ma minusów – tu możliwe jest tylko dodawanie. Czy Gdańsk stanie się mniej polski, jeżeli pozwolimy Kaszubom uznawać go za swoją stolicę? Jak wyglądałby historyczny wizerunek tego miasta, gdybyśmy wyczyścili go z wszystkich „niepolskich” (wąsko pojmowanych) wątków? Zostałoby nam parę królewskich dyplomów, pastorał kujawskiego biskupa, szlacheckie zboże i tratwy flisaków...

Pomerania, nr 5 (454), 2012, s. 7-9